

Laura Bellini

Zanim zdradzi nas świt

Rano wybierze między jego zaufaniem
a lojalnością wobec rodziny.



Zanim zdradzi nas świt

Rano wybierze między jego zaufaniem a
lojalnością wobec rodziny.

Laura Bellini

ROMANS

SPIS TREŚCI

INTRO	4
Rozdział 1 - Człowiek z warunkami	10
Rozdział 2 - To, czego nie ma w papierach	23
Rozdział 3 - Kobieta, która pamiętała za dużo	44
Rozdział 4 - Granica, której nie widać	63
Rozdział 5 - Klucz numer siedem	86
Rozdział 6 - Poza godzinami pracy	108
Rozdział 7 - To, co zostało w szufladzie	131
Rozdział 8 - Zanim zgaśnie światło	151
Rozdział 9 - Drugi klucz.....	174
Rozdział 10 - Rachunek za cudze długi	194
Rozdział 11 - Cena uczciwości.....	216
Rozdział 12 - Co naprawdę należy do rodziny	237
Rozdział 13 - Dwanaście procent	258
Rozdział 14 - Nie wszystko, co się dziedziczy	278
Rozdział 15 - Nadzwyczajny komitet	311
Rozdział 16 - Po drugiej stronie	330
Rozdział 17 - Warunki, które piszemy sami	371
Rozdział 18 - Pełna wersja prawdy	391
Rozdział 19 - Cena zamknięcia	413
Rozdział 20 - Po tej stronie świtu	432

INTRO

O czwartej trzydzieści siedem nad ranem hotel brzmiał tak, jakby oddychał przez zaciśnięte zęby.

Wiatr uderzał w stare okna od strony lasu, gdzieś w rurach przesuwiała się woda, a awaryjne lampy na korytarzu dawały za mało światła, żeby cokolwiek wyglądało niewinnie. Stałam boso w gabinecie ojca z telefonem w jednej dłoni i kluczem w drugiej. Klucz był mały, mosiężny, z wytartym numerem siedem. Jeszcze godzinę wcześniej leżał w kieszeni kurtki Michała Zaremba. Teraz miałam go ja.

Na ekranie świeciła ostatnia wiadomość od mojego brata.

Masz czas do świtu. Sprawdź, co tam jest. Jeśli Zaremba ma kopię, musimy wiedzieć przed spotkaniem.

Nie odpisałam. Nie dlatego, że nie wiedziałam co napisać. Wiedziałam aż za dobrze.

Nie zrobię tego.

To zdanie wystarczyłoby, żeby wybrać stronę. Problem polegał na tym, że przez trzydzieści trzy lata życia słowo „strona” prawie zawsze znaczyło dla mnie to samo co „rodzina”. Sawiccy byli trudni, dumni, głośni i mistrzowsko uzdolnieni w udawaniu, że kryzys jest tylko bardziej wymagającą wersją obiadu. Ale byli moi. Hotel nad Jeziorem Cichym też był nasz, choć od miesięcy bank, wierzyciele i połowa lokalnych plotkarzy mieli na ten temat własne zdanie.

A Michał?

Michał był człowiekiem, któremu obiecałam trzy godziny wcześniej, że już niczego przed nim nie ukryję.

Przymknęłam oczy. To było wyjątkowo niepraktyczne wspomnienie.

Siedzieliśmy wtedy w pustej hotelowej restauracji, przy jednym stoliku oświetlonym świecą, bo burza wyłączyła prąd w całym obiekcie. Miał rozciętą dłoń po tym, jak pomógł mi zabezpieczyć pęknięte okno w oranżerii. Ja trzymałam bandaż, on patrzył na mnie z tym nieznośnym spokojem, który pojawiał się u niego dokładnie wtedy, kiedy chciałam, żeby się zdenerwował.

- Emilia - powiedział. - Jeśli mam zostać do rana, muszę wiedzieć, czy jeszcze w ogóle ze mną grasz uczciwie.
- Nie gram.
- Dobrze. To najgorsza możliwa odpowiedź.

Zaśmiałam się wtedy, chociaż nie powinnam. Potem jego palce zacisnęły się lekko na moim nadgarstku, nie zatrzymując mnie, tylko sprawdzając, czy cofnę rękę. Nie cofnęłam. Kiedy mnie pocałował, zrobił to dopiero po moim cichym „tak”, a ja przez kilka minut byłam kimś, kto nie miał rodzinnej firmy do uratowania, dokumentów do przejrzenia i nazwiska, które od pokoleń otwierało jedne drzwi, a inne zamykało na dwa zamki.

Teraz stałam przed jednym z tych zamków dosłownie.

Mosiężny klucz pasował do wąskiej szuflady w biurku ojca. Wiedziałam to, bo widziałam, jak Michał wieczorem wsunął do niej granatową teczkę, gdy sądził, że rozmawiam z recepcjonistką przy schodach. Niczego nie tłumaczył. Ja nie pytałam. Jeszcze wtedy mogłam sobie wmówić, że to zwykła dokumentacja przed jutrzejszym spotkaniem z bankiem.

Potem zadzwonił Adam.

Mój starszy brat nie tracił czasu na wstępy.

- On coś znalazł - powiedział.

- Kto?
- Nie rób ze mnie idioty, Emi. Zaremba. Ojciec pamięta tę teczkę.
- Ojciec od dwóch dni twierdzi, że nie pamięta, gdzie położył własny telefon.
- To nie znaczy, że nie pamięta czegoś sprzed osiemnastu lat.

Wtedy po raz pierwszy zrobiło mi się naprawdę zimno.

Osiemnaście lat.

Dokładnie tyle lat wcześniej rodzina Zarembów sprzedała Sawickim ostatni udział w ziemi pod północnym skrzydłem hotelu. Transakcja, o której w domu mówiło się zawsze jednym zdaniem: uczciwa, zamknięta, dawno rozliczona.

Michał przyjechał pięć dni temu jako pełnomocnik funduszu, który rozważał przejęcie części naszego zadłużenia. Dopiero później dowiedziałam się, że jego matka nazywała się kiedyś Zaremba z domu Milewska i że podpis pod tamtą umową należał właśnie do niej.

Przypadek. Tak powiedział ojciec.

Nie uwierzyłam mu.

Nie powiedziałam Michałowi, że nie uwierzyłam.

I właśnie od tego zaczęło się wszystko, czego trzy godziny temu obiecałam już nie robić.

Odwróciłam telefon ekranem do dołu. Za oknem noc zaczynała blednąć, jeszcze nie świtało, ale czerń nad linią drzew miała już granatowy odcień. Miałam może godzinę. Może mniej.

Wsunęłam klucz do zamka.

Nie przekręciłam go.

Za moimi plecami skrzypnęła deska.

Odwrociłam się tak szybko, że biodrem uderzyłam o kant biurka. W drzwiach stał Michał. Miał na sobie ciemny sweter, ten sam, który dałam mu po burzy, bo jego koszula była mokra od deszczu. Włosy miał jeszcze lekko wilgotne, a zabandażowana dłoń opierała się o framugę. Nie wyglądał na zaspany.

Patrzył najpierw na mnie, potem na klucz.

Nie próbowałam schować ręki.

To chyba było jedyne uczciwe, na co było mnie stać.

- Nie mogłeś spać? - zapytałam.
- Mogłem. Potem zauważyłem, że nie ma ciebie.

Jego głos był cichy. To bolało bardziej niż złość.

- Michał...
- To mój klucz.
- Wiem.
- Skąd go masz?

Mogłam skłamać. Miałam w tym wprawę, jeśli za kłamstwo uznać również przemilczenie połowy prawdy i pozostawienie rozmówcy z wersją, która była dla rodziny wygodniejsza. Tym razem jednak każde zdanie, jakie przychodziło mi do głowy, brzmiało jak coś, czego nie chciałabym usłyszeć z jego ust.

Wyciągnęłam rękę i położyłam klucz na biurku.

- Wypadł ci z kurtki w restauracji - powiedziałam. - Znalazłam go później.
- I przyniosłaś tutaj.
- Tak.

- O czwartej trzydzieści siedem rano.
- Tak.

Przez chwilę słyszeliśmy tylko wiatr.

Michał wszedł do gabinetu, ale zatrzymał się po drugiej stronie biurka. Nie podszedł bliżej. Jeszcze kilka godzin temu znałam ciepło jego ust i sposób, w jaki pytał spojrzeniem, zanim mnie dotknął. Teraz między nami leżał metr starego dębu, mosiężny klucz i wszystko, czego nie powiedzieliśmy sobie wcześniej.

- Otworzyłaś? - zapytał.

Spojrzałam na szufladę.

- Nie.
- Chciałaś?

To było gorsze pytanie.

- Tak.

Nie drgnął, ale jego wzrok się zmienił. Nie stał się chłodniejszy. Stał się uważniejszy.

- Dlaczego?

Telefon zawibrował na blacie.

Oboje spojrzeliśmy na ekran.

ADAM.

Nie musiał widzieć treści wiadomości. Wystarczyło imię.

Michał uniósł wzrok.

- To rodzina cię tu przysłała?

Świt nie miał jeszcze koloru, ale już był obecny w oknach, cienką linią za czarnym lasem. Pomyślałam o ojcu śpiącym piętro wyżej, o Adamie czekającym na odpowiedź, o zadłużeniu hotelu, o pracownikach, którzy nie wiedzieli, czy

za miesiąc nadal będą mieli pracę. A potem o mężczyźnie stojącym naprzeciwko mnie, który przyjechał tu z własnym powodem, własną historią i dokumentem, którego najwyraźniej bała się moja rodzina.

Miał prawo do prawdy.

Oni byli moją rodziną.

Telefon zawibrował drugi raz.

Michał nie ponaglił mnie. Nie zażądał wyjaśnienia. Po prostu czekał.

I właśnie to sprawiło, że pierwszy raz naprawdę zrozumiałam, jak dużo może kosztować zaufanie, kiedy człowiek dostaje je dokładnie w chwili, w której najłatwiej byłoby je wykorzystać.

Spojrzałam na klucz.

Potem na niego.

- Nie przystali mnie - powiedziałam. - Ale liczą na to, że wybiorę ich.
- A ty?

Za oknem noc zaczęła ustępować.

Wiedziałam, że zanim zrobi się jasno, będę musiała odpowiedzieć.

Rozdział 1 - Człowiek z warunkami

Pięć dni wcześniej.

W poniedziałek o dziewiątej siedemnaście rano wiedziałam już trzy rzeczy o Michale Zarembie.

Po pierwsze, spóźnił się dokładnie siedemnaście minut i nie próbował zwać tego na korki, pogodę ani nawigację. Po drugie, kiedy wszedł do lobby, zauważył pęknięcie w marmurowej posadzce szybciej niż stojącą przy recepcji tablicę z informacją o naszym jesiennym pakiecie wellness. Po trzecie, był zdecydowanie zbyt spokojny jak na człowieka, który przyjechał zdecydować, czy hotel mojej rodziny dostanie pieniądze potrzebne do przetrwania zimy.

Nie lubiłam ludzi spokojnych w kryzysie. Zazwyczaj oznaczało to, że kryzys nie był ich.

Stałam przy wysokim stole obok recepcji i kończyłam rozmowę z dostawcą pieczywa, kiedy drzwi obrotowe zatrzymały się na moment pod naporem wiatru. Michał wszedł do środka z ciemną torbą przewieszoną przez ramię i cienkim płaszczem, który wyglądał na zbyt elegancki jak na listopadową Warmię. Nie był typem człowieka, którego należało nazwać przystojnym w pierwszym zdaniu. To słowo było zbyt proste. Miał twarz, którą chciało się obserwować podczas rozmowy, żeby sprawdzić, kiedy wreszcie zdradzi jakąś emocję.

Rozłączyłam się i spojrzałam na zegarek.

- Pan Zaremba?
- Michał wystarczy.
- Emilia Sawicka. Siedemnaście minut.

Zerknął na własny zegarek.

- Wiem.
- To wszystko?
- Jeśli pani chce, mogę wymyślić dramatyczną historię o ciężarówce blokującej drogę.
- Nie chcę.
- Dlatego jej nie wymyśliłem.

W pierwszym odruchu prawie się uśmiechnęłam, ale uznałam, że człowiek przyjeżdżający z funduszu inwestycyjnego nie zasłużył jeszcze na takie ułatwienia.

- Sala konferencyjna jest na pierwszym piętrze. Mój brat już czeka.
- A pani?
- Ja też.
- Pytałem, czy pani czeka.

Zawiesił na mnie spojrzenie o sekundę za długo. Nie było w nim flirtu. To byłoby łatwiejsze. Wyglądał raczej, jakby naprawdę chciał wiedzieć, czy zamierzam uczestniczyć w rozmowie jako gospodyni, czy jako osoba, która ma coś do powiedzenia.

- Od trzech lat prowadzę ten hotel operacyjnie - odpowiedziałam. - Jeśli pytanie brzmi, czy będę przy każdym spotkaniu dotyczącym jego przyszłości, to tak.
- Dobrze.
- Dlaczego dobrze?
- Bo z dokumentów wynika, że większość zmian, które poprawiły wynik operacyjny, zaczęła się po tym, jak przejęła pani zarządzanie.